ROK I. ŚRODA. 1 CZERWIEC. 1842.

Roczniki krytyki literackiéj wychodzą dwa razy w tydzień, we Środę i w Niedzielę, w objętości dużego pół arkusza. Numerów pięćdziesiąt i dwa, czyli jedno półrocze, stanowić będzie Tom; — dwa Tomy stanowią całość.

Przedpłata roczna wynosi R. s. 5, k. 40 półroczna R. s. 3, kwartalna R. s. 1 k. 80. — Prenumerować można: W Redakcyi Roczników krytyki literackiéj, przy ulicy Tłomackie Nr. 739 w pałacu dawniéj Ossolińskich, w officynie na 1szém piętrze; U osób prywatnych które się tem zajmować raczą; We wszystkich znaczniejszych księgarniach w kraju i za granicą; Na Urzędach i Stacjach Pocztowych w królestwie; lecz tam jedynie za przedpłatą roczną lub półroczną.

Szan: Prenumeratorowi: w Warszawie mieszkającemu, na żądanie nadesłane sobie mieć będą Roczniki do mieszkań swoich bez żadnéj nadpłaty.—

№ 42.

ROCZNIKI KRYTYKI LITERACKIEJ.

REDAKTOR GŁÓWNY: FR. HENRYK LEWESTAM.

POWIEŚCI Z ZA OCEANU

przez autora romansu p. t. Transatlantische Reiseskizzen.

(*Dokończenie.*)

Więcéj jeszcze prawdy aniżeli w obrazach natury autor *Szkiców* w obrazach ludzi objawia: tu zaś na wcale nowy napotykamy rodzaj. Umié on wprawdzie malować pojedyncze wyborne charaktery i wykonać je, skoro mu tego potrzeba, — właściwe zaś mistrzostwo posiada w portretowaniu całych narodów i pokoleń. Silnym i wielkim pędzlem określa obrazy ludów, — w każdym inne są farby i rysy, a przecięż, gdzie tylko zechce, w saméj massie jedno indywiduum od drugiego się różni. Ilu to malarzy wyczerpnęło cały zapas czarnego koloru aby nam Murzynów przedstawić; — on pierwszy dokładnie nas z całą rasą zapoznał. Wprawdzie nie stało się to bez dążności politycznéj, gdy okazywał, że owe na wpół tylko ludzkie istoty, będące w pośrodku między człowiekiem a małpą, niezdolne są do wolności, jakiéj dla nich wymaga Filantropja europejska; — lecz wszystko tam zbyt jest prawdziwe, zbyt żywe, nic tam nie może bydź przydanego, mimochętnie nawet musimy mu wierzyć i do zdania się jego przychylić. Z zadziwieniem sami siebie zapytujemy: jakie ten człowiek ma oczy, gdy w czarném jeszcze tyle rozmaitych wynajduje odcieni? Nierównie lepiéj jeszcze, z ręką prawdziwie mistrzowską przedstawia nam autor Kreolów w Nowym Orleans i w Luizjanie: ci wnukowie Francji, opaleni pod południowém słońcem Ameryki, na więcéj prawie są oddaleni od swych współobywateli północno-amerykańskich, aniżeli na przestrzeń która dzieli murzyna od małpy. Przez jego zręczność prawie niepojętą poznajemy indywidua i klassy; począwszy od nieokrzesanego Arkadyjczyka, który zupełnie już z obcym pojednał się gruntem, aż do wszystkich stopniowań plantatorów mniéj więcéj do cywilizacji zbliżonych; i jakby nie dosyć jeszcze było na takiém arcydziele, przedstawia nam jeszcze całą kategorję emigrantów francuzkich z czasów wielkiéj rewolucji, na nich także wkładając pewien typ odrębny i zupełnie właściwy, gdy przecięż we wszystkich przebija się taż sama pierwotna iskra ducha czysto francuzkiego.

W opisie rasy anglo-amerykańskiéj wielu miał poprzedników: materja ta nie tyle jest obfita, aby się pędzel jego mógł zanurzać w kolorach ognistych lub soczystych. Jednakowo, jakże wybornie kilkoma rysami określa dumnego Wirgińczyka, nieokrzesanego mieszkańca Kentuky, przezornego i chytrego Yankeea. Widzimy człowieka i cały naród; widzimy jak piérwszy powstał z drugiego i jakie odwrotne znowu było człowieka na naród działanie. Ale niestety! obok siły pierwotnéj i świéżéj widzimy toczącego także robaka zniszczenia: już zgnilizna jedną stronę pożéra, gdy tymczasem druga nad miarę się krzewi i rośnie. Autor nasz tych stron przykrych nie wykazuje, — nie tyle o nich mówi ile ukradkiem tylko napomyka; — a jakkolwiek to dostatecznie dla czytelników amerykańskich, przecięż nam wiele się wydaje niejasne i aforystyczne. Wszakże najgorszych szczegółów ominąć mu nie podobna, tam gdzie mowa o Plutokracji, o ludziach bankowych, o polityce i pieniądzach ciągle w związku między sobą utrzymywanych, o rozrzytości i o zbytkach naczelników giełdowych, o czczości i próżności owych towarzystw spekulujących, owego świata modnego, owego dandyzmu amerykańskiego, do którego ani Paryża, ani Warszawy, ani Londynu przyrównać nie można. Wtedy to najsprawiedliwszy gniéw nim potrząsa, — a w ostatnim nakoniec romansie p. t. Amerikanisch deutsche Wahlverwandtschaften (*Powinowactwa niemiecko-amerykańskie*) przychodzi do wypadku, jakiego zapewne z góry sam sobie nie zamierzył. — Oprócz tych trzech obrazów narodowych, które do arcy dzieł autora liczemy, oprócz Kreola, Murzyna i Niemca, starał się podać nam także portret ludzi miedzianych, tak nazwanych Indjan i owych mięszańców, którzy stanowią państwo mexykańskie. Tyle już o tych ludach wierszem i prozą pisano głęboko zajmującego, że zaledwie poetyczne jeszcze pióro temu przedmiotowi nowéj użyczy szaty; — ale autor i tutaj, gdzie materja pomimo rzewnéj tragiki, tyle jest jednostajną, wiele nowych wykazywać umie odcieni, wiele stron rozmaitych porusza, których dźwięku jeszcześmy nie słyszeli, a który jednak do serca przemawia. Dziwna to siła, płomieniste kolory, jakich tylko słońce tropiczne horyzontowi i wegetacji nadaje, któremi Mexyko i mięszkańców tego kraju przed oczy nasze prowadzi. Musiał on sam zapewne bydź w tém wielkiém i nieszczęśliwém państwie, sam musiał napawać się rozkoszą, sam bydź przejętym okropnością nędzy, jaką dziki, piekielny niemal fanatyzm i krwawa chciwość obsypały lud autochtonów. Takich sprzeczności żadna fantazja nie wynajdzie. Cały ten świat gór mexykańskich z wierzchołkami wiecznie śnieżnemi po nad dolinami zielonemi i wesołemi, cała ta natura zarazem olbrzymia i miła, — a przytém mięszkańcy drżący przez zniewieściałość, tonący w nieczystości, próżniactwie i rozkoszach, podlegający wszystkim występkom, w więzach najszkaradniéjszéj bigoterji, chrześcianie z nazwiska, a przecięż stronnicy jeszcze zbitych, spalonych i zakopanych przed trzema wiekami bożyszczów!

Artykuł nasz przekroczył granice jakieśmy sobie założyli: — jakże zaś obfitą bydź musi materja, kiedy sami czujemy, iżeśmy najmniéjszą tylko część tego powiedzieli, co powiedziéć można o dziełach tego autora. Zaledwie żeśmy zdołali krótkie podać wyobrażenie o cechach jego charakterystycznych; — właściwy zaś *rozbiór* wszystkiego, bez wątpienia zająłby miéjsce obszerniéjsze, aniżeliby dozwoliła objętość pisma naszego. Tyle tylko powiemy, że gdyby Stany Zjednoczone powzięły kiedykolwiek myśl wynagrodzenia zasług umysłowych dla dobra publicznego położonych autor] *Szkiców z tamtéj strony Oceanu* niechybnieby na pierwszeństwo zasłużył.

L.

POMIĘSZANIE JAROSZA BEJŁY

objawione przez A. Filipowicza. Wilno. Drukiem Teofila Glücksberga. 1842.

Ze względu na recenzję dzieła p. t.: *Mięszaniny Obyczajowe* przez *Jarosza Bejłę*, w numerach 17 i 18 pisma naszego umieszczoną, pośpieszamy z doniesieniem o wyjściu małéj broszurki, która pod powyższym tytułem zawiera dosyć ostrą, często nie bezzasadną, częściéj jednak tylko dowcipną, a miejscami nawet ani uzasadnioną ani dowcipną satyre.

P. Filipowicz wychodzi z przypuszczenia, że *Mięszaniny*, po części przynajmniéj, nie mogły bydź tylko płodem *pomięszania*. Przedstawia nam tedy Jarosza Bejłę w malignie, opanowanego dziwną manią pisarską, — a gdy choremu troskliwi lekarze pisać nie dozwalają, dyktuje swemu sekretarzowi, ale dyktuje, dyktuje, jak gdyby był jasnowidzący. Po wyzdrowieniu Pana niewierny sekretarz dorywa się jakichś przedchorobnych szpargałów, a te wraz z utwo-

rami gorączki i dodatkami własnemi na widok publiczny wydaje. Takie więc powstanie Mięszanin: — zmartwiony Bejła uprasza p. Filipowicza do otwartego zbijania onychże, a zaszłe w skutku tego żywe dyskussje i rozmowy, pod napisami pojedynczych artykułów wzwyż wspomnionego dzieła, treść *Pomięszania* stanowią.

Czytelnik łatwo poznaje, że myśl takiéj satyry w gruncie nie mało szczęśliwa; — szkoda tylko, że wykonanie w trop za myślą nie idzie. Jak bowiem z jednéj strony ostro korci niektóre przywary Bejły, które i my już w swojém miejscu bezwarunkowo wytknęli, tak z drugiéj widać p. Filipowicz unosi się jakąś wspaniałomyślnością, bodaj czy nie zbytnią względnością, tak iż poniekąd nawet krytyka jego ma pozór, jakoby pod bezpośrednim wpływem autora była pisana. Wszakże na dowód, że są w téj broszurce niektóre kawałki *dowcipne i niebezzasadne*, przytaczamy ustęp o *Obmowach*, w którym świadomy rzeczy czytelnik znajdzie wiele myśli prawdziwych i godnych, aby się zbliska niemi przejmowano: nadmieniamy tylko że mówi p. A. Filipowicz, a *Wojewodzicem* jest autor Mięszanin.

»Dziś z rana, pókiś jeszcze spoczywał Wojewodzicu, ten artykuł czytałem uważnie, i przekonałem się, że wszystko w nim Twoje; lecz niestety! Szpakiewicza (*) rozsądkiem ułożone! to jest bez żadnego wyboru i braku tego, co podczas *bredzenia*, a co w czasie *exaltacji* tylko umysłowéj, podyktowane było! Pamiętam albowiem, żeśmy się nieraz z Wojewodzicową cieszyli, słysząc cię rozsądnie mówiącego, chociaż w przedmiotach obcych twojemu chwilowemu położeniu; kiedy nas doktór wstrzymywał w téj radości, mówiąc: *jeszcze to exaltacja, stan chorowity*, wolałbym *milczenie jak tyle rozumu*; a my gniewając się na lekarza, za tak przykre słowa nauce i poczciwości jego wierzyć jednak musieliśmy! — W całym ustępie *Obmowy* dwie tylko ćwiartek jest *gorączkowych*, i szkoda że się na nich Szpakiewicz nie opatrzył; boby tém przynajmniéj dowiódł, że umie korzystać, z przywłaszczania cudzéj rzeczy. — Ktoż nie pozna Bejły, w sprawiedliwém narzekaniu na brak opinji publicznéj i w słusznéj uwadze; *że społeczność te tylko przywileje zachować może, które szanować umié.* — Ktoż nie oddа sprawiedliwości Jego obywatelskiéj cnocie, przestrzegającéj o tém chyleniu się ku upadkowi publicznéj moralności! o potrzebie podsycania żywiołów spółczesnych cnotami domowemi, aby przedstawiacze tych cnot, w każdym rodzaju, gromadzili i skupiali około siebie opinię powszechną! Ale obok tych pięknych kart, występuje Szpakiewicz z ćwiartką *szałową* grubijańskich obelg, ciśnionych na Szkołę krzemieniecką! Jest w niéj między innemi niedorzecznościami »że z téj Szkoły w wydziale matematycznym wyszli »ludzie biegli, w innych zaś naukach, zwłaszcza mo»ralnych, każdy uczeń, nauczywszy się po trzy lekcje, »gładko szermuje językiem dla pokrycia grubéj swéj »niewiadomości!!« Gdyby Ci, Wojewodzicu, tę samą kartę Szpakiewicz podsunął, kiedyś przyszedł do zmysłów, sambyś najobrzydliwsze kłamstwo takiemu zadał zdaniu! bo przy pamięci, jaką posiadasz, i przy sumieniu, któregoś się nie zaparł, wnetbyś przytoczył imiona, inną pamiątkę po téj Szkole zostawujące. — Czy tłómacz Sallustiusza *Teodozy Sierociński* nie posiadał języka łacińskiego? czy dzisiejszy Rektor Gimnazjum charkowskiego, a były Adjunkt Uniwersytetu Ś. Włodzimierza, *Józef Korzeniowski*, nie znał tego języka, i nie jest jednym z szanownych uprawiaczy Literatury krajowéj? czy professor Akademji krakowskiéj, *Michał Wiszniewski*, autor tylu dzieł znakomitych, nie zna Historji i jéj Filozofji? czy autor *Marji*, Antoni Malczewski, nabrał tylko wprawy do wynajdowania końcówek i ucbodzi w naszéj Literaturze za sztambuchowego wierszokletę? czy były Prezez Sądu głównego wołyńskiego, *Eligi Piotrowski* nie miał wiadomości Prawa? czyż Kaczkowscy, którеmi uczoność européjska *Franka* wyręczała się w kraju naszym, są to ludzie bez znajomości łaciny i tylu nauk przyrodzonych?... a przecięż wszyscy oni byli uczniami krzemienickiéj szkoły, żyli lub żyją śród nas w Obywatelstwie; i JW. Wojewodzic Dobrodziéj, któremu piérwszy przyznaję przyzwoite wychowanie, mógł nieraz z niemi rozmawiać, czegoś się nawet douczyć (choćby sądzenia o ludziach) nie mając potrzeby zniżać się do tonu żartobliwego? Na nieszczęście ten ton, staje się częstokroć nałogiem u ludzi wyższego nawet rozumu; i stawia ich w kolei chorych na żółtaczkę, którzy, nie dla tego widzą *żółto* że przedmioty zewnętrzne *żółte*, ale że im w oczach *pożółkło!* — Ale Panie Atanazy coś z doprawdy gniewasz się? czyś no tylko sam nie z Krzemieńca? bo lubo nie robię na swój karb całéj *diatryby* o téj Szkole, wyznaj żem nie miał dla niéj, a przynajmniéj

(*) Wspomnionego powyżéj Sekretarza

Przyp. Red.

dla jéj uczniów, takiego szacunku, jaki dostrzegam w żwawéj twojéj *recenzji*? — Jakiéj ja Szkoły .... to obojętna .... Żadna mną nie pochlubi .... ja, żadnéj się krajowéj nie wyprę; jestem z téj szkoły, która mię nauczyła oburzać się na każdą niesprawiedliwość, i gromić lekkomyślność, choćby najlepszego przyjaciela. Domyśl się więc pan teraz, czy jestem z Dąbrowicy czy z Międzyrzeca, z Zytomierza czy z Winnicy, z Krzemieńca czy z Wilna? a to ci tylko powiem dla ułatwienia zagadki, żem trochę za stary, abym był z Radomyśla lub Niemirowa! — Pamiętaj Panie Atanazy, że nasza rozmowa ma być drukowana, a ona coś nie dobry krój bierze. — Zapewne, Wojewodzicu, — rzekłem ściskając go za rękę — cienia osobistości między nami bydź niepowino. Wszak wezwałeś mię owszem do przyjacielskiéj posługi? im więcéj cię szacuję i kocham, tym bardziéj wolno mi jest chłostać niepoczciwego Szpakiewicza! Idźmy więc daléj, —

«Rzadki to wprawdzie, ale nie zupełnie nie znany w Medycynie femonen, że w stanie *delirium przechodzącego* jedna i ta sama myśl wraca do umysłu chorych, w téj saméj prawie postaci? wiążą oni ją w prawdzie z innemi jakiemiś wyobrażeniami, co dostarcza nowéj strawy rozdrażnionéj imaginacji; ale z pewnym związkiem i powrotem do ulubionéj myśli, jak kaznodzieja do textu, albo muzyk do temy, po przejściu przez rozmaite warjacje. Gdyby chory w tym stanie pozostał, miałby. mówiąc po francuzku *idée fixe*; a po naszemu nieco prościéj, *ćwieka we łbie*! Podczas twojéj choroby Wojewodzicu, chciałeś nam koniecznie dowieść, że stan duszy nie *modyfikuje*, ale wyrabia i tworzy kształt zewnętrzny ciała. W drugim nawrocie do téj myśli, już więcéj rozognionéj przechodzisz do rozbioru cielesnych chorób narodowych i w nich upatrujesz źródła moralne z których wynikają. Jakieś wewnętrzne zagadnienie, któregoś nam nie objawił, sprzeciwiać się musiało, twojéj gorączkowéj opinji; i wtedy wyrzekłeś (cośmy wszyscy słyszeli) »*Pokolenie teraźniéjsze tak jest niedojrzałe, że niemoże w śmiech nie obrócić tych wielkich tajemnic*? Ja, sługa i podnóżek pański, przejrzały może już członek tego pokolenia, zdanie wielkiego myśliciela w śmiech nie obrócę, ale pozwolę sobie przeczyć mu jego nieomylność. Pominę choroby *zagraniczne*» zagranicznych krajów, zupełnie mi nieznanych, ale nasz krajowy *Kołtun* i owa choroba, co chwyta zwierzchników nielitościwych, za tę część ciała, nad którą się pastwią, żadnego związku niéma z plątaniną naszych niezgód domowych, albo z nieludzkością naszych podstarościch? Czy mógł bydź większy nieład, jak w dawnéj Ukrainie,? a przecięż na Ukrainie *kołtuna* nie widać, choć on jest rodzinnym Litwy i Polesia wołyńskiego produktem.—

Nędzna, kurne chaty, nieczystość, oto podobno rzeczywiste i jedyne przyczyny *kołtuna*. Moralista zwłaszcza twojéj skali, Wojewodzicu, powinien był z tego wątku uprząść, obszerny rozdział o potrzebie większéj dbałości dziedziców, na dobre i wygodne mieszkania włościan swoich, pod względem Hygieny krajowéj? Nie mówię, ażeby i z tych *kurnych chat*, nie wyszła czasem, z woli Opatrzności, na łono wyższego towarzystwa choroba, karząca okrutnie niedbałość lub obojętność takich właścicieli! Z mlékiém karmicielki, któréj dziad może nosił jeszcze na sobie piętno nędzy, t. j. *kołtun*, wléwa się nieraz trucizna, w żyły potomka wielkiego rodu! a nieczystość, która w tym razie, była może ochroną życia nędzarza-wieśniaka, bo skupiała w splątane włosy, płyn pożerczy, trawiący ciało jego, ta nieczystość wygnana z domu pańskiego przestaje być lekarstwem i skazówką śmiertelnéj nieraz choroby, która w inne przebrana kształty, inne dla siebie wynajdując drogi wiedzie po nich zbłąkanych doktorów, aż ją częstokroć, u wrót grobu dopiéro poznają! Ale wyznaj, Wojewodzicu, że sprawiedliwa Opatrzność, nie mogłaby *kołtunem* karać biédnych włościan, za to, że ich panowie, burzliwa szlachta, sejmy zrywali, lub pod chasłem Konfederacji, tłukli się pomiędzy sobą? Również i tego nie słyszałem, ażeby *Dyspozytor* lub *Kapral*, oba jeżdżący konno i dużo ruchu mający, doznawali choroby w téj części ciała, nad którą z powołania i braku oświaty, najczęściéj się pastwią? Kiedy przeciwnie ludzie gabinetowi, uczeni, Filozofy, Filantropy, martwiąc swoje a nie cudzą część ciała ciągłem siedzeniem, dostają w niéj przy pewnych warunkach klimatu i pokarmu, znanéj choroby, któréj źródło w imieniu twojém, Szpakiewicz, w złém sercu umieścił! Z tą samą Logiką, kochany Wojewodzicu, z jaką twój *Sozjusz* umieścił ustęp o Krzemieńcu i narodowych chorobach, przykleił on także uwagę o skłanności Wołynianów do *obmowy*; gruntując je na złym stanie majątkowym większéj części posiadaczy téj 'prowincji, ale żeś musiał wtedy usypiać, (jak ci się to nieraz zdarzało w ciągu dyktowania) więc on i rzeczy i słów nie dosłyszawszy, sam pewnie dorobił koniec tego Rozdziału. Trywijalność albowiem obrazów, tego żyda rzeźnika, nie dającego mięsa, tego kontraktu na wódkę i t. d. w piśmie niby stylowém, jest tak *nizkie* ... że wedle słów tegoż samego Szpakiewicza *już się więcéj zniżyć nie można!!*
